

# Zastrzyk z „Morfiny”

**Zamiast obrazoburczej opowieści - spektakl o tym, jak puste stały się wykorzystywane w politycznej grze pomniki i wszelkie obrazoburcze gesty.**

**Ewelina Marciniak, wystawiając powieść Szczepana Twardocha, otwiera nowy etap w Teatrze Śląskim.**

WITOLD MROZEK

Konstanty, bohater nominowanej do nagrody Nike i nagrodzonej Paszportem „Polityki” powieści Twardocha, po wrześniowej klęsce wkłada hitlerowski mundur. Nienaganną niemiecką wydaje komendy. Może na chwilę odwrócić rolę i odczuć zakazaną rozkosz stania po stronie zwycięzców. A przecież swastykę wsuwa na rękaw dla Polski - jako podwójny agent podziemnej organizacji. Zresztą, nim robi to po raz pierwszy, dopada go biegunka - Übermenscha musi grywać z zafajdanymi spodniami.

W teatralnej wersji Eweliny Marciniak z tego powieściowego grania hitlerowca zostaje głównie scena zabójstwa przypadkowego bandziora, który Konstantemu stanął na drodze. Z brzucha ofiary obficie tryskają plastikowe flaki i czerwona farba. Jarmarcznie? Tak, bo arcyważne kwestie historii i tożsamości stają się tu właśnie jarmarcznym teatrykiem, z którego chcielibyśmy uciec. Ale jakoś się nie da...

Spektakl Marciniak nie jest typową adaptacją. Próba opowiedzenia fabuły, wybór scen, które łączą się w opowieść - to wypadła w scenariuszu Jarosława Murawskiego najsłabiej. Czy dla kogoś, kto nie czytał „Morfiny”, wszystkie wątki będą jasne? Pewnie nie.

Inna sprawa, że nie jest to potrzebne. Książka Twardocha, jedna z ciekawszych polskich powieści ostatnich lat, dostarcza tu bowiem nie tyle fabule, co pełną wizję świata. Oraz bohatera.

Konstanty Willeman to przedwojenny warszawski utracjusz. Ślązak - by brylować po kawiarniach wśród stołecznej bohemy, musiał pozbyć się akcentu. Niepewny swojej tożsamości syn niemieckiego oficera i gliwickiej mieszcz-

ki. Rentier pozujący na artystę, później - ulan w kampanii wrześniowej. Teraz włoży się po Warszawie w poszukiwaniu morfiny, od której jest uzależniony. Warszawie już podbitej i pokonanej, ale jeszcze odległej od grozy getta, łapanek, powstania. Jest październik 1939 roku i Polski już nie ma - powtarza Willeman. A jednak Polska, ta podziemna, się o niego upomni - ma wykorzystać swój podwójny status, zostać szpiegiem, a u jego boku stanie agentka, piękna i rezolutna jak z przedwojennego kina.

Z kobietami Konstanty też sobie nie radzi. Początkowo powieść przypomina typowo narcystyczny monolog sfrustrowanego mizogina. Szarpie się Willeman między stereotypowymi żeńskimi postaciami: matką wiedźmą, żoną - endecką patriotką, kochanką - demoniczną Żydówką, jak z powieści Witkacego. Jednak im dalej w las, tym silniejsza autoironia samczego słowotoku, tym bardziej przewrotna konstrukcja. Nic nie jest takie, jak się wydaje Kostkowi w jego rozeniach, za które bardziej niż tytułowy narkotyk odpowiada wyidealizowany wzorzec męskości, ze sprośnością któremu bohater ewidentnie ma problem.

**Arcyważne kwestie historii i tożsamości stają się tu celowo jarmarcznym teatrykiem, z którego aż chcielibyśmy uciec. Ale jakoś się nie da...**

Dla groteski i autoironii Twardocha Marciniak odnalazła wyrazisty teatralny odpowiednik. To prześmiewcza forma, ostantacyjnie tandetny wodewil. Muzykę na żywo zapewnia tu jazzujące trio Chłopcy kontra Basia. Choreografia Dominiki Knapik nadaje temu światu pulsujący kształt, nietrwały, a zarazem wciągający. Wszystko ciągle się rozpada, by tworzyć coraz to nowe konstelacje w przesterzonym wykreowanej przez scenografkę Katarzynę Borkowską. Niewiele zostaje tu z kolejnych podróży Konstantego: tych w pijanym widzie po ulicach stolicy, i z późniejszych, na służbie: z Warszawy do Krakowa, przez wertepy przegranej Polski do spokojnego Budapesztu i z powrotem. Ważniejsze niż opowiadanie perypetii i kolejnych spotkań: z okaleczonym ojcem,

z surowym teściem endekiem, z komicznie teatralnymi konspiratorami, będzie zagubienie w transie.

Marciniak nie rewiduje żadnych narodowych mitów. Nie, to nie spektakl obrazoburczy - raczej o tym, jak puste stały się i pomniki, i wszelkie obrazoburcze gesty. Historia potaniała - licytujemy się na cierpienia i ofiary, a każdy fakt z historii może w dowolnej interpretacji służyć do tego, na co akurat jest polityczne zapotrzebowanie. To dlatego scenę zalegają tu zużyte teatralne znaki z rupieciami dziejów, z wielką głową Hitlera na czele.

Jest tu też jednak coś bardzo świeżego. To zupełnie nowa jakość, którą Marciniak uruchomiła w katowickich aktorach. „Morfina” śląski zespół wdziera się do krajowej ekstraklasy. W opartej na muzyczności i rytmie zwartej formie odnaleźli się rewelacyjnie. Z grającym gościnnie Willemana Pawłem Smagają - znanym ze spektakli Krzysztofa Garbaczewskiego - zbudowali na scenie zgrany mechanizm, napędzany przede wszystkim przez postaci kobiece. To Violetta Smolińska, Aleksandra Fielek, Katarzyna Błaszczńska, Anna Kadulka i Natalia Jesionowska tworzą ten świat.

„Ro-man Dmowski, Ro-man Dmowski, nie istnieje naród śląski” - rozbrzmiewa dopisana Twardochowi wylicznka, ku ucieście katowickiej publiczności. Teatr Śląski za dyrekcji Roberta Talarczyka chętnie zajmuje się tożsamością regionu. Ale „Morfina” pokazuje, że po latach scena ta może się stać miejscem ważnym nie tylko dla Śląska. Po świetnie zagraną „Piątą stronie świata”, monumentalnej regionalnej elegii według Kutza, i rozrywkowym „Skazanym na bluesa”, lepszym jednak jako koncert muzyki Dżemu niż jako spektakl - Talarczyk pokazuje, że jego pomysł na katowicki teatr jest w pozytywnym tego słowa znaczeniu - eklektyczny. Jeśli ktoś zapyta, na jak długo starczy węgla lokalnych tematów, „Morfina” to dowód, że ze Śląska można stale eksportować produkty wysokiej jakości. ●

## Morfina

reż: Ewelina Marciniak, adaptacja: Jarosław Murawski, Teatr Śląski im. Wyspiańskiego w Katowicach  
Premiera: 7 listopada